

MŁODY KRAKÓW



nr 30 • październik 2022 • www.mlodziez.krakow.pl • ISSN 2657-585X

**Bilet na
slumming**

**Wellness & SPA
po krakosku**

Czytajże!



**Im wolniej,
tym lepiej**



Zajrzyj na
naszego
Facebooka



Droga Czytelniczko, Drogi Czytelniku,

październikowa aura u wielu z nas wyzwała tęsknotę za podróżami, które odbyliśmy w wakacje, a także za przygodami, których wtedy doświadczyliśmy. Tworząc nowy numer „Czytajże” postanowiliśmy, że ożywimy letnie wspomnienia i zainspirujemy Cię do tworzenia planów na przyszłość. W wydaniu znajdziesz więc teksty nawiązujące do motywu „turystyki” – zarówno lokalnej, jak i zagranicznej. Dowiesz się z nich m.in. jak podróżować w duchu ekologicznym oraz co mogą dać wyprawy góorskimi szlakami. Przeczytasz także o miejscach, do których krakowiacy jeździli na „wczasy” około sto lat temu oraz poznasz współczesne propozycje Krakowa dla tzw. turystów kulinarnych. Dla Ciebie zwiedziliśmy również krakowskie kopce oraz pojechaliśmy do Ojcowy. Jednak zanim skorzystasz z rekomendacji redakcji – daj się zaprosić na podróż po naszym czasopiśmie.

Anna Kulma



młody
KRAKÓW
2.0

Czasopismo
„Młody Kraków – Czytajże!”
ukazuje się w ramach Programu
aktywnego uczestnictwa młodzieży
w życiu miasta na lata 2019–2023
„Młody Kraków 2.0”.

Wydawca:
Urząd Miasta Krakowa
Wydział Polityki Społecznej i Zdrowia
ul. Dekerta 24, 30-703 Kraków

Media społecznościowe
Facebook: @MlodyKrakowCzytajze
Instagram: @mlody_krakow_czytajze

Kontakt z redakcją:
e-mail: redakcja@demokracjawpraktyce.pl
tel. 534 975 594

Numer redagowali:
Anna Kulma (redaktor naczelna),
Bartek Hałatek, Jakub Pilarski,
Mikołaj Ługowski, Alicja Bazan,
Kinga Kowal, Jagoda Burekowska,
Kamila Przytuła, Lena Szuster,
Gabriela Stoch, Jakub Kuźmiński,
Kinga Skotnicka, Karolina Kamińska,
Wojtek Zalewski, Adrian Musiał,
Martyna Lichosik, Matylda Marcych,
Zuzanna Mruk.

STOWARZYSZENIE
DEMOKRACJA
W PRAKTYCE



**Opracowanie graficzne,
pomoc redakcyjna i korekta:**
Pracownia Register

Okładka
fot.: Jerzy Karnasiewicz
modelka: Zofia Karnasiewicz

Redakcja nie zwraca materiałów
niezamówionych, zastrzega sobie prawo
ich skracania, zmiany tytułów oraz
redakcyjnego opracowywania tekstów
przyjętych do druku.
Fotografie zamieszczone w magazynie
są ogólną ilustracją tekstów, nie zawsze
przedstawiają bohaterów artykułów.

SPIS TREŚCI

- 3 ■ **Bilet na slumming**
- 5 ■ **Wellness & SPA po krakosku**
- 7 ■ **Hej, ku góróm...**
- 10 ■ **Pięciu muszkieterów**
- 12 ■ **Im wolniej, tym więcej – dlaczego warto
włączyć slow motion?**
- 14 ■ **Ojców – tak wiele tak niedaleko**
- 16 ■ **Kraków dla serca i żołądka**
- 18 ■ **Sztuka podróży po światowych problemach**



Bilet na slumming

Zwiedzanie dzielnic nędzy, zdobycie Himalajów, górski maraton *all inclusive* – oferty biur podróży odpowiadają na nowe trendy w turystyce.



Dharavi –
dzielnica
Mumbaju

Dharavi

Najstarsze, największe i najlepiej zorganizowane slumsy w Mumbaju, stolicy indyjskiego stanu Maharashtra. Największe w Indiach, drugie co do wielkości w Azji i trzecie na świecie; zlokalizowane są w pobliżu bogatej dzielnicy Bandra i wytwórni filmowej Bollywood. Mieszkańcy slumsów zajmują się m.in. recyklingiem zwożonych tutaj z różnych regionów kraju śmieci. Średnie dzienne wynagrodzenie w slumsie to 100 rupii dla kobiet (6 zł) i 200 rupii dla mężczyzn (12 zł).

Przjrzyj się nędzy

Na jednym z popularnych polskich blogów podróżniczych czytamy: „Zamiast promu na wyspę, łapiemy pociąg do Dharavi. [...] Zobaczyć jeden z największych slumsów na świecie, [...] przjrzyj się, w jakich warunkach wytwarzane są produkty i półprodukty, [...] poczuć smród, który mieszkańcy muszą wdychać codziennie – przeżycie niezapomniane i dające wiele przemysłów”

Takie poczucie towarzyszy zapewne wielu osobom uprawiającym tzw. turystykę slumową (ang. *slumming*, *favel tourism* lub *poorism*). Jej początek wiąże się z intensywnymi procesami urbanizacji w Europie w połowie XIX wieku. We wrześniu 1884 r. „The New York Times” opublikował artykuł na temat najnowszego trendu spędzania wolnego

czasu: „*Slumming* stanie się modną formą rozpusty wśród naszych obywateli, ponieważ nasi zagraniczni kuzyni zawsze będą gotowi nas oprowadzić”. W XIX wieku *slumming* polegał głównie na tym, że przedstawiciele klasy średniej w miastach Wielkiej Brytanii i USA brali udział w wycieczkach do dzielnic nędzy. W kolejnych dziesięcioleciach trend objął inne wielkie miasta świata. Po II wojnie światowej popularność *poorismu* spadła, aby w latach 80. i 90. ubiegłego wieku znów powrócić do popularności. Obecnie do najczęściej odwiedzanych dzielnic biedy zalicza się Rocinha (dzielnica Rio de Janeiro), Kibera w Kenii, Dharavi (dzielnica Mumbaju) i wiele innych miejsc w krajach tzw. Globalnego Południa. W ostatnich latach slumsy Afryki, Ameryki Łacińskiej i Azji odwiedziło ponad milion turystów, głównie z krajów wysoko rozwiniętych. *Slumming* staje się modny także dzięki słynnym produkcjom filmowym, rozgrywającym się w dzielnicach nędzy – „Slumdog. Milioner z ulicy” (Dharavi), „Miasto Boga” (Rio de Janeiro), „Elitarni” (Rio de Janeiro).

Szczęśliwie żyć

Wizyty w slumsach przybierają różne formy. Można spędzić tam kilka godzin w ramach wycieczki zorganizowanej przez biuro podróży, można również skorzystać z oprowadzania przez lokalnych przewodników. Zwiedzanie



polega na spacerze po dzielnicy nędzy, obserwacji lokalnych gospodarstw, oglądaniu ludzi grzebiących w odpadach, wygłodzonych dzieci. Czasami towarzyszy temu obserwacja walki gangów, zdarza się również zjedzenie posiłku z tubylcami. Korzystając z oprowadzania przez lokalnego przewodnika, można w pewien sposób wesprzeć miejscową społeczność.

„Wizyta w slumsach uświadomiła nam, że to wcale nie dla zabytków, pięknej architektury czy też muzeów warto zawitać do Mumbaiu, ale właśnie dla takich miejsc jak Dharavi i jej optymistycznych mieszkańców, którzy udowadniają nam, że można szczęśliwie żyć, nie mając praktycznie niczego” – pisze kolejny autor wpisu na blogu podróżniczym.

Uprzedmiotawiać?

Slumming od początku budził wiele kontrowersji. Dla wielu jest „moralnie wątpliwym podglądaniem biedy”, bo – jak mówi Aleksandra Gutowska, antropolożka, autorka wpisu na portalu „Post-turysta” – „badanie lub zwykłe podglądanie mieszkańców slumsów na wycieczce jest zatem pewną formą ich uprzedmiotawiania”. Podkreśla się również, że turyści nie są w stanie zobaczyć prawdziwego oblicza nędzy ludzi, których oglądają. Spędzenie jednej nocy w slumsach, w specjalnie przygotowanym dla zwiedzającego pokoju z łóżkiem, klimatyzacją i płaskim telewizorem, w żaden sposób nie odzwierciedla położenia tubylców.

Wysłuchać mieszkańców

Jednak *slumming* jest w pewien sposób oddaniem głosu mieszkańcom slumsów. Badania prowadzone wśród ludności Kibery pokazały, że tubylcy zaangażowani w oprowadzanie turystów pokazują nie biedę, w której żyją, ale to, jak się z niej wydobywają. Przewodnicy przedstawiają zwiedzającym lokalne przedsiębiorstwa, prezentują powstałe szkoły i centra szkoleń zawodowych, wspierane przez różne lokalne organizacje.

Szacuje się, że popularność turystyki slumsowej będzie rosta z uwagi na powiększające się podziały społeczne i gospodarcze na świecie oraz globalny wzrost nierówności. Niezależnie od opinii na temat *slummingu* trzeba pamiętać, że ludzie mieszkający w slumsach nie budują swojej tożsamości na slumsie jako dzielnicy biedy i nędzy, ale na miejscu, w którym się urodzili, wychowali i w którym toczy się ich normalne życie.

Dziewięciodniowa droga na szczyt

„Jeśli Twoim marzeniem jest stanąć na szczytach Himalajów, ale na dotarcie tam w tradycyjny sposób ciągle nie masz czasu lub z jakichś powodów odkładasz to



Rocinha – dzielnica Rio de Janeiro

w nieskończoność, mamy dla Ciebie konkretne rozwiązanie – Nepal helikopterem ponad szczytami Himalajów!” – czytamy na portalu jednego z biur podróży. Wycieczka trwa dziewięć dni, obejmuje lot nad najwyższymi szczytami i wizytę w górskich miastach. Wszystko za niecałe 3,5 tysiąca dolarów.

Na sam szczyt Himalajów może nie jest już dostać się tak łatwo, ale branża turystyczna bardzo stara się, aby mógł to zrobić „niemal każdy”. Wycieczki po najwyższych pasmach górskich świata organizowane są przy pomocy lokalnych tragarzy, którzy nierzadko niosą na sobie prawie cały bagaż turysty. Są także opiekunami i ubezpieczycielami na całej trasie.

Dwieście kilometrów all inclusive

Trekking wokół Annapurny to od 160 do 230 kilometrów marszu, dwa do trzech tygodni w górach. Annapurna jest dziesiątym co do wysokości szczytem na Ziemi, znajduje się praktycznie w centrum Nepalu. Biura podróży określają trekking jako ciężki lub wyczerpujący, szybko jednak zapewniają, że jest to wysiłek zupełnie niegroźny. Biura oferują towarzystwo przewodnika i niezawodnego tragarza, który jest częścią każdego przejścia *all inclusive*. „Można dźwigać plecak samemu, ale po co?” – czytamy w ogłoszeniu. Na podróżniczych forach internetowych znajdziemy mnóstwo porad: kiedy, jak i za ile wynająć pomoc oraz jak upewnić się, że tragarz nas nie oszuka. W ten sposób średnio zamożny turysta z Europy może zdobyć najwyższe szczyty dzięki nepalskiemu robotnikowi.

Czy na pewno...

Branża turystyczna otwiera się na nowe formy turystyki. Coraz bardziej widoczne są próby odkrywania miejsc niedostępnych, groźnych, biednych. Wydaje się, że takie rejony stanowią największą atrakcję, a klientom biur podróży wciąż brak jest „większych wrażeń”. Nie ulega też wątpliwości, że pomimo dużej popularności, dobrej reklamy i profesjonalnej obsługi na część wycieczek mogą pozwolić sobie tylko osoby o wyższym poziomie zamożności. Zobaczymy, jak w najbliższych latach będzie kształtowało się to zjawisko. Pozostaje nam również niezmiennie pytanie – czy aby na pewno wszystkie podróże kształcą?

Kinga Kowal



Wellness & SPA po krakosku

Davos, Lloret de Mar, Vichy – te najstynniejsze kurorty świata zna chyba każdy. Nieco inaczej jest w przypadku tych podkrakowskich miejscowości, które gościły wczasowiczów w ubiegłych stuleciach. Gdzie się znajdują i czy dzisiaj warto się do nich wybrać?

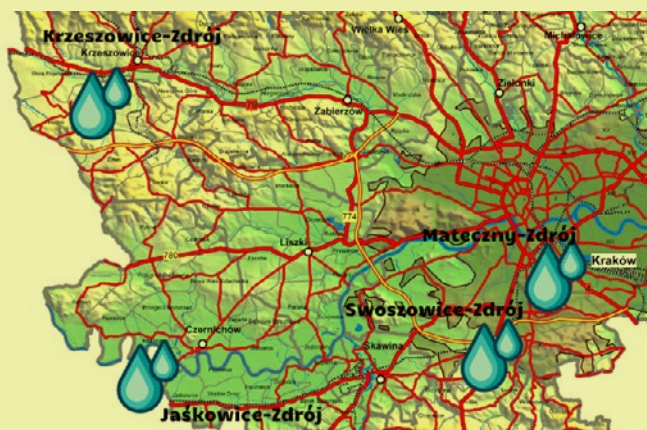


Malownicze okolice Krakowa na początku XX wieku pełne były dobrze rozwiniętych uzdrowisk, funkcjonujących w oparciu o najnowsze zdobycze techniki i medycyny. Tutejsi mieszkańcy dość szybko zaczęli korzystać z ich dobrodziejstw. Oszczędni krakowianie cenili sobie bliskość uzdrowisk i wygodę dojazdu. Kierowali się słowami – powtarzanymi także przez lekarzy – „każdy prawdziwie chory woli jechać milę lub dwie niż 50 lub 100, aby wyzdrowieć”.

Większość z opisanych poniżej miejsc jest dziś zupełnie zapomniana i raczej nie ma szans na powrót do zdrojowej tradycji. Mimo to warto wybrać się do którejś z tych miejscowości i ją zwiedzić. Popularne niegdyś kurorty nadal mają wiele do zaoferowania. Przecież to właśnie tam nasi pradziadkowie wypoczywali i reperowali swoje zdrowie.

Jaśkowice

Wieś w gminie Skawina była uzdrowiskiem przez zaledwie kilkanaście lat, ale przez ten czas była uznawana za jeden z najnowocześniejszych kurortów w Polsce. Ten podmiejski ośrodek miał do zaoferowania zakwaterowanie w kilku pięknych drewnianych willach, wielki park z altanami, mnóstwo stawów i oczywiście wiele rozrywek.



Opracowanie własne na podstawie: powiat.krakow.pl

Organizowane tu były zabawy ogrodowe i dancingi, a co niedzielę – koncerty muzyki klasycznej, gdyż muzycy szczególnie upodobali sobie to miejsce. W Jaśkowicach leczono wiele chorób, zwłaszcza nerwowych i oddechowych, stosowano m.in. metodę hydroterapii ks. Sebastiana Kneippa (tego od marki kosmetyków). Większość z budynków uzdrowiskowych dziś już nie istnieje, ale tradycja zdrojowa wsi od kilku lat jest odkrywana na nowo podczas wielu wydarzeń kulturalnych.



Podgórze kupiec Antoni Mateczny odkrył na swojej posesji źródło wody siarczanowej, która po przebadaniu okazała się pełna prozdrowotnych właściwości i idealna do leczenia wielu chorób. Mateczny jako znany biznesmen szybko zważał dobry interes i założył zakład wodoleczniczy w pięknym parku. Uzdrawisko Mateczny prężnie rozwijało się do II wojny światowej, gromadząc wielu kuracjuszy m.in. z pobliskich Jaśkowic, które w efekcie straciły znaczenie dla krakowian. Dzisiaj uzdrawisko nie funkcjonuje, ale prowadzone są próby odbudowy źródła poprzez działania niedawno założonej „Krakowskiej Pijalni Zdrojowej”, w której można skosztować słynnych wód rozlewanych w tym miejscu.



Krzeszowice

Miasto posiada długą tradycję, sięgającą XVIII wieku, kiedy uzdrawisko tutaj założyła rodzina Lubomirskich. Przez wieki Krzeszowice i okolice – zwłaszcza tutejsze doliny – upodobał sobie szczególnie krakowianie. Samo lecznictwo było kontynuowane aż do połowy XX wieku, ale zazwyczaj traktowano je jako dodatek, bo najważniejsze były tutejsze cudowne krajobrazy. Uzdrawisko składało się z wielu klasycystycznych budynków, z których większość istnieje do dziś, więc cały czas możemy oglądać potęgę dawnego kurortu. Miasto słynie również z pałacu Potockich i kościoła projektu Carla Friedricha Schinkla – znanego z zaprojektowania reprezentacyjnej części Berlina. Ponadto w Krzeszowicach funkcjonuje dzisiaj Ośrodek Rehabilitacji Narządu Ruchu, który kontynuuje tradycje uzdrawiskowe.

Mateczny

Większość z przejeżdżających okolicami dzisiejszego ronda Antoniego Matecznego nie zdaje sobie nawet sprawy, że istniało tutaj jedno z dwóch krakowskich uzdrawisk. Pod koniec XIX wieku na terenie osobnego wtedy miasta

Swoszowice

Jedynie funkcjonujące do dzisiaj uzdrawisko na terenie Krakowa, znane dzięki jednym z najlepszych w Europie wodom siarczkowym, stosowanym w tutejszym lecznictwie już od średniowiecza. Uzdrawisko swój sukces zawdzięcza dr. Józefowi Dietlowi – rektorowi UJ, który wypromował Swoszowice i pragnął, by stały się najmodniejszym polskim kurortem. Niestety, po jego śmierci nowi właściciele zaniedbali te wysiłki i dużą konkurencją dla uzdrawiska stały się modne wówczas Jaśkowice. Uzdrawisko, mimo burzliwej historii, funkcjonuje do dzisiaj i ściąga do siebie wielu mieszkańców Krakowa i okolicy. Jego goście szukają spokoju w pięknym parku i zdrowia w lokalnych wodach.

Dla nas, tak samo jak dla naszych przodków, zdrowie nadal pozostaje najważniejsze. Może wodą nie wyleczymy wszystkich chorób czyhających na nas, ale atmosfera pięknych podkrakowskich kurortów nadal potrafi postawić na nogi. Zdrowie czeka tuż za Krakowem.

Adrian Musiał



Fot. Wojtek Zalewski

Hej, ku góróm...

„Na każdej wyprawie poznaję siebie i swoje słabości” – rozmowa z **Leszkiem Piekło**, miłośnikiem i znawcą Głównego Szlaku Beskidzkiego. Leszek przeszedł szlak czterokrotnie, w tym raz w obie strony.

► WOJCIECH ZALEWSKI: Jak wspomina Pan swoje pierwsze wyprawy?

LESZEK PIEKŁO: Mój kontakt z górami zaczął się bardzo wcześniej, bo już w wieku 14 lat, poprzez związek z harcerstwem. Dziś mogę powiedzieć, że to były początki miłości do gór. Zaczęło się normalnie, najpierw wraz z zastępem pojechaliśmy w Bieszczady, a później, już jako szesnastolatek, byłem tam na samotnej wędrowce. Oczywiście to nie takie czasy, nie takie wędrowki i nie taki sprzęt jak dzisiaj. To była zupełnie inna epoka, inny wiek. Później pochłaniały mnie rodzina, obowiązki, praca, ale oczywiście, jak tylko zdarzały się urlopy, to bywałem w górach. Głównie w Bieszczadach. Do dzisiaj mówię, że Bieszczady to góry mojej młodości. Bywałem również, o czym nie miałem wtedy pojęcia, na Głównym Szlaku Beskidzkim (GSB). Trzeba sobie zdawać sprawę, że przebieg GSB zmieniał się i dopiero od niedawna jest on podobny do tego dzisiejszego. Jednak niektóre odcinki szlaku pozostały niezmienione od 1914 r., gdy wyznaczył je Kazimierz Sosnowski!

► Ile kilometrów liczył wtedy szlak?

Odcinek od Ustronia do Tylicza miał około 200 km. Nie nazywał się on jeszcze wtedy GSB, tylko po prostu szlak

czerwony. Dopiero w 1935 r., z inicjatywy Założyciela Akademickiego Klubu Turystycznego we Lwowie Mieczysława Orłowicza, wyznaczony został najdłuższy odcinek – aż do ówczesnej granicy z Rumunią – mający około 800 km. W tamtym czasie po raz pierwszy zaczęto używać nazwy Główny Szlak Beskidzki, wtedy imienia marszałka Józefa Piłsudskiego.

► A jak to wygląda dzisiaj?

Od 1973 r. GSB nosi imię Kazimierza Sosnowskiego i liczy ponad 500 km, choć niektóre przewodniki podają poniżej, a inne ponad 500 km. Szlak prowadzi z Wołosatego w Bieszczadach Zachodnich do Ustronia na Śląsku Cieszyńskim. Ja dopiero jakieś 14 lat temu natrafiłem na przewodnik Agaty Hanuli po GSB i zacząłem czytać. Przy biurku podzieliłem trasę na 19 części i któregoś dnia – świadomie, że idę GSB – wyruszyłem na jego pierwszy odcinek. Była to trasa Ustroń – Jordanów. Potem przechodziłem pozostałe odcinki, w jedną lub drugą stronę.



Fot.: Leszek Piekło



► Kiedy zdecydował się Pan przejść cały szlak „za jednym zamachem”?

W 2013 roku przeszedłem go pierwszy raz w całości, zupełnie sam. Oczywiście miałem już pewne doświadczenie: wiedziałem, gdzie są bazy noclegowe, źródła wody etc. Zajęło mi to 19 dni. W 2015 r. znowu zacząłem myśleć o ponownym przejściu GSB, tym razem dwukrotnie, w obie strony. Wyruszyłem w 2016 r., wędrówka trwała 38 dni. Zadeedykowałem ją pamięci Olka Ostrowskiego, zaginionego 25 lipca 2015 r. na stoku Gaszerbrum II.

► Czego nauczyły Pana góry?

To jest slogan, który większość turystów, piechurów czy wspinaczy powtarza, ale pod tym kryje się rzeczywistość prawda – do gór trzeba mieć szacunek. Zresztą, jak i do siebie. Czasem lepiej jest odpuścić i wrócić w góry, niż być z nich zwiezionym. Często powtarzam, że wycofanie

się nie jest wstydem. To jest właśnie oddanie szacunku górcom. W stosunku do gór – a przede wszystkim górskiej pogody – jesteśmy bezsilni.

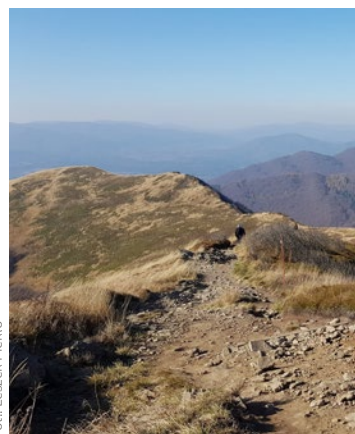
► Z miłości do gór, już ponad rok temu, powstało Stowarzyszenie GSB. Jakiego projektu realizuje stowarzyszenie?

Obecnie nie ma za dobrych warunków, aby uprawiać turystykę namiotową. Brakuje np. wody, niezbędnej do zachowania higieny. Koszt przejścia GSB z noclegami „pod dachem” to na ten moment ok. 3 tys. złotych. Nie wszystkich na to stać. Chodząc po Beskidach, dostrzegłem miejsca idealne do stworzenia „bezobstęgowych schronów turystycznych”. W ubiegłym roku, jeszcze z mojej inicjatywy, powstały dwa takie schrony. Stowarzyszenie ma za zadanie ułatwić, od strony prawnej, współpracę z innymi instytucjami. Obecnie prowadzimy m.in. dobre rokujące rozmowy z nadleśnictwami Łosie i Gorlice. W celu promocji szlaku został niedawno rozpisany konkurs na relację z GSB. Chcemy wydać książkę w ogromnym nakładzie, całkowicie bezpłatną, aby była ona dostępna w każdej bibliotece.

► Dużo młodzieży spotyka Pan na szlaku?

Muszę powiedzieć, że bardzo dużo. Spotyka się młodzież dziesięcio-dwunastoletnią z rodzicami, ale także taką siedemdziesięciokilkuletnią. Jest wiele festiwali górskich,

Fot.: Leszek Plekto



W całej okazałości Góra Cergowa
zwana Piękną Górą – Beskid Niski

Fot.: Leszek Plekto



Fot.: Wydawnictwo Compass



Piśsko

Fot.: Wojtek Zalewski

m.in. krakowski, ale one koncentrują się na siedmiotysięcznikach, wielkich wyprawach. Ale nie ma nikt pomysłu, jak spotkać się z uczniami, którzy nie są wyczynowcami. Przecież góry to nie tylko Zakopane, a już na pewno nie Krupówki. Tam nawet nie są Tatry, tylko Rów Podtatrzański. Nie opowiadać o wspinaczkach w Himalaje, lecz zarazić pięknem Beskidów, których nikt nie zauważa.

► To co w takim razie wyróżnia Beskidy?

Wystarczy wsiąść w autobus i za 10 złotych jest się w Rabce. Można wejść na Turbacz i już wieczorem być z powrotem w domu. Kraków ma Beskidy w zasięgu ręki. Na całym przebiegu GSB mamy diametralnie inne widoki.

Inaczej jest na bieszczadzkich połoninach, zachwycających ogromną perspektywą, inaczej na Babiej Górze, a jeszcze inaczej w gorczańskich lasach. Tak niesamowitej bioróżnorodności, czyli roślinności nie spotka się nigdzie indziej. Szlak to również niesamowici i niezwykle ciekawi ludzie z całej Polski. Turyści z Gdańska, Poznania czy Warszawy to nie pojedyncze przypadki. Poznajemy się w diametralnie innych warunkach niż to się odbywa w mieście, szkole czy na dużym spotkaniu.

► Jakie rady dałby Pan osobom, które chcą pójść pierwszy raz w góry?

Zanim pójdziecie w Beskidy, pójdźcie nad Rudawę, przejdźcie przez Sowiniec, Kopiec Kościuszki i zjeźdźcie w rejon Błoni. Przejdźcie się po prostu na spacer. Czy będziecie zmęczeni i z zakwasami na drugi dzień? Pewnie tak, ale one miną. Jeśli chodzi się systematycznie, ból i tak może się pojawić, ale nie on jest najważniejszy. Liczą się doznania, przeżycia. W górach obserwujcie – nie tylko widoki, ale także to, co pod stopami. Uczcie się przyrody przez rozpoznawanie. Ja, pomimo wieku, na każdej wyprawie poznaję coraz to nowe gatunki, ale chyba przede wszystkim samego siebie i swoje słabości. Najtrudniejsze to przekonać własny mózg, że to nie boli, że jest to frajda, przyjemność. Jeśli mózg to zrozumie, nogi nie będą boleć.

Rozmawiał Wojtek Zalewski



Główny Szlak Beskidzki (GSB) to najdłuższy szlak górski w Polsce, który przechodzi przez niemal wszystkie pasma beskidzkie. Prowadzi przez Bieszczady Zachodnie, Beskid Niski, Pogórze Bukowskie, Beskid Sądecki, Gorce, Pogórze Orawsko-Jordanowskie, Beskid Żywiecko-Orawski i Beskid Śląski. Łącznie liczy ponad 500 km.





Pięciu muszkieterów

Od wieków są dla mieszkańców i turystów jak magnes: kto nie zobaczy Krakowa ze szczytu kopca, ten stolicy Małopolski w pełnej krasie nie poznał. Mimo upływu lat pięć „krakowskich piramid” dzielnie stoi na straży miasta i niezwykle je urozmaica.

Najdłuższym stażem w Mieście Królów szczytują Kopiec Krakusa i Kopiec Wandy. Oprócz podobnej daty powstania (VII w.), łączą je... wieży krwi. Według legendy, pierwszy ze stożków stanowił mogiłę założyciela miasta – księcia Kraka, drugi natomiast służył za miejsce pochówku jego córki – Wandy, która, nie zgodziwszy się na ślub z niemieckim władcą, wskoczyła do Wisły. Ale podobieństw, nawet hipotetycznych, jest między nimi więcej.

Słowianie czy Celtowie?

To, co najbardziej pikantne z punktu widzenia archeologów i historyków, kryje się za tezą znanego polskiego geologa Janusza Kotlarczyka. Według badacza obie zabytkowe „foremki” powstały kilka wieków wcześniej i były dziełem nie Słowian, a Celtów. Zgodnie ze zdaniem Kotlarczyka decydują o tym przedmioty, datowane jeszcze na okres rzymski, które odnaleziono podczas prac prowadzonych przy kopcach.

„Teorie prof. Kotlarczyka nie znajdują potwierdzenia w faktach” – twierdzi pracowniczka Muzeum Archeologicznego w Krakowie, Anna Tyniec. – „Wiemy, że na pewno nie powstały w okresie neolitu i wędrowek ludów. Natomiast interpretacja planów Krakowa z XVII w. i przekazów ikonograficznych z XIX w. pozwala na stwierdzenie, że w sąsiedztwie kopca Kraka istniały inne, mniejsze kopce. Ulegały stopniowemu niszczeniu, głównie w wyniku działań człowieka – eksploatacji surowców i budowy obiektów wojskowych”.

Rękawka

Krakowskie święto, odbywające się po pierwszej wiosennej pełni na kopcu Krakusa, swoimi korzeniami sięga do słowiańskiego święta zmarłych (nazwa pochodzi od zwyczaju noszenia ziemi na kopiec w rękawach). Choć jego koncept osadzony jest w tak odległych czasach, obyczaj ten już od lat cieszy się w Krakowie ogromnym zainteresowaniem i przyciąga na usypisko wielu uczestników. Co prawda pandemia dwa lata z rzędu pokrzyżowała organizatorom plany, ale w kwietniu tego roku Rękawka z powodzeniem wróciła do terminarza krakowskich rozrywek. Tym razem odbyła się pod hasłem „Klechy i podania



Fot.: kilhan / stock.adobe.com

krakowskie”, a w jej trakcie nie zabrakło efektownych atrakcji i pokazów: wojowie biegali wokół kopca, grupy rekonstrukcyjne inscenizowały ucieczkę smoka wawelskiego czy bitwę Wiślan z najeźdźcami, a w tłumie można było natknąć się na postaci obecne w krakowskich podaniach. Na dodatek mieszkańcom została udostępniona słowiańska osada, gdzie na własnej skórze można było poczuć realia minionych epok.

Strawa pod kopcem Wandy

Nowa Huta wcale nie jest gorsza niż Podgórze w odkrywaniu na nowo historycznego dziedzictwa kopców. Niecałe dwa miesiące po Rękawce mieszkańcy zebrali się pod kopcem Wandy, aby celebrować – w myśl czysto słowiańskich zwyczajów – letnie przesilenie słońca, czyli tzw. Noc Kupały. Uczestnicy „Strawy pod kopcem Wandy” najpierw mieli okazję wziąć udział w warsztatach plecenia wianków, następnie wchłonąć prądką atmosferę dzięki rekonstrukcji średniowiecznej wioski, a na sam koniec symbolicznie rozpalili ognisko.



Fot.: JAN / stock.adobe.com

Ku chwale generała

Nim nad stolicę Małopolski wychynął kolejny kopiec, minęło całe dwanaście wieków. W końcu, w 1823 r., kopiec Kościuszki, usypany na cześć zasłużonego wodza, stanął w centrum dawnego Zwierzyńca. Chociaż Polacy stanowili większość załogi odpowiedzialnej za wygląd i kształt kopca, dostali również solidną pomoc zza granicy. Jak wiadomo, dorobek Kościuszki w dużej części wykracza poza nadwiślańskie państwo, na czele z walką o niepodległość Stanów Zjednoczonych. Ze względu na to, na wieść o pomysle usypiania kopca, do Polski zaczęły wędrować gromady chętnych do pomocy obcokrajowców. Szacuje się, że końcowy efekt powinniśmy zawdzięczać w sumie wielu tysiącom ludzi, w tym mieszkańcom Ameryki Północnej oraz obywatelom Francji i Szwajcarii, gdzie Kościuszko przez jakiś czas przebywał na emigracji.



Punkt strategiczny

Polacy niezwykle starannie dbali o kopiec, obawiając się, że polityczne zawrota w końcu nadwyrężą jego stan i tożsamość. W 1862 r. sygnowali go nawet głazem z lakoniczną dedykacją: „Kościuszcce”. Kamień tkwił tam do I wojny światowej, gdy Austriacy postanowili wykorzystać krakowską piramidę jako punkt obserwacyjny. Dwadzieścia kilka lat później na ten sam pomysł wpadli żołnierze wojsk radzieckich. Trochę wcześniej, bo w latach 50. XIX w., Austriacy zabezpieczyli kopiec pierścieniem fortów i włączyli go w obręb Twierdzy Kraków.



Fot.: Curioso.Photography / stock.adobe.com

Siedlisko atrakcji

Mimo mniej lub bardziej kosmetycznych zmian, którym kopiec poddawany był przez lata, wcale nie utracił on swojej magii. Dziś można go wręcz uznać za prawdziwe siedlisko atrakcji: w postawionym zaraz obok Muzeum Kościuszkowskim dla zwiedzających dostępna jest wystawa „Kościuszczo – bohater wciąż potrzebny”, stanowiąca rozbudowaną, multimedialną prezentację życia legendarnego wodza. W Ogrodzie Kościuszkowskim, podejmującym dialog z zamiłowaniem Kościuszki do ogrodnictwa i hodowli róż (wiemy, że urządził nawet słynny ogródek skalny w West Point w USA), można z kolei przyjrzeć się zakwitającym roślinom czy słusznych rozmiarów sośnie. Ta ostatnia występuje tam jako symbol gorącego uczucia, łączącego Kościuszkę z polską szlachcianką Ludwiką Sosnowską. Przy okazji warto urozmaicić sobie drogę na szczyt Trasą edukacyjną, która pozwala zapoznać się z bardziej prywatnymi szczegółami z życiorysu generała.

Zwiedzanie kopca generalnie jest płatne, ale są wyjątki. Dni, które nie wymagają zakupu biletu, wypadają: 4 lutego (dzień urodzin Kościuszki), 15 października (dzień śmierci) i 24 marca (dzień wybuchu Insurekcji Kościuszkowskiej).

Mogiła Mogił

Pierwsza połowa XX w. to okres narodzin kopca Piłsudskiego. Zaczął on powstawać jeszcze za życia marszałka – w 1934 r. – ale oficjalnie do grona krakowskich stożków dołączył tuż po jego śmierci – w 1937 r. Umieszczono w nim ziemię z najważniejszych pól bitewnych z XIX i XX w., a także z miejsc, na których pozostały ślady krwi ofiar stanu wojennego, dlatego nazywa się go czasem „Mogilą Mogił”. W zestawieniu naszych pagórkowatych perełek lideruje w dwójnasób: jest zarazem największy i najwyższy. To przede wszystkim zasługa cenionego, XIX-wiecznego, krakowskiego architekta, Franciszka Mączyńskiego, który

niedługo przed śmiercią stworzył projekt kopca i jego otoczenia.

W praktyce nie dogania jednak swoją popularnością „braci” z Podgórza i al. Waszyngtona. Dzieje się tak, ponieważ jest bardziej oddalony od centrum (teren Lasu Wolskiego) i trudniej do (lub na) niego dotrzeć. Dużą rolę odgrywa

również kontekst historyczny: podczas II wojny światowej padł ofiarą Niemców, którzy dewastowali go przy każdej możliwej okazji, a w późniejszym okresie władza komunistyczna skazała go na zapomnienie. Odrestaurowany został dopiero w latach 80. XX w.

Teraz nieco odżył. Nie bez przyczyny – z jego szczytu można popatrzeć między innymi na lotnisko w Balicach czy góry, a przy wyjątkowo dobrej pogodzie uchwycić nawet Tatry. Przy tym kopiec Piłsudskiego sprzyja wszelkim aktywnościom plenerowym – czy to jeśli chodzi o piknik, czy spacer. Ten drugi wydaje się podwójnie atrakcyjny, bo szlaki wiodące na kopiec będą przez znany i lubiany Lasek Wolski.

Naj

Zestawienie zamyka zaledwie dwudziestopięciolatek: usypany w 1997 r. kopiec Jana Pawła II. Nie dość, że młody, to jeszcze najmniejszy, bo mierzy tylko siedem metrów (od najrośniejszego sąsiada z Sowińca dzieli go aż 28). Aby się tam dostać, trzeba odwiedzić Dębники, a konkretnie teren Zgromadzenia Księży Zmartwychwstańców. I o ile trudno pozostałym kopcom odmówić atrakcyjności, o tyle ten poświęcony papieżowi oferuje raczej niewiele wrażeń. Po pierwsze, z racji jego wzrostu nie można rozpytywać się

nad widokami. Po drugie, jest nieco zaniedbany i stosunkowo rzadko kosi się na nim trawę, co bynajmniej nie ułatwia wspinaczki na szczyt.

Ale nie należy całkowicie spisywać kopca Jana Pawła II na straty. Jak dowodzi Emil Bajorek na swoim blogu Pokrakus.com: „Same budynki prowincjonalnej kurii i seminarium

Fot.: DRONE QUEST / stock.adobe.com

Zmartwychwstańców powstały na początku lat 90. i są bardzo ciekawe architektonicznie – pełne nieoczywistych symboli i ukrytych znaczeń”. Co więcej, jest to prawdopodobnie jedyny kopiec na całym świecie, który upamiętnia papieża Polaka (dokładnie: jego szóstą pielgrzymkę do ojczyzny). Bardzo podobny znajduje się także w Olkuszu, chociaż tam przypomina o Kościuszcze. Nie ma w tym przypadku – ten krakowski to replika tego znad rzeki Baby.





Im wolniej, tym więcej – dlaczego warto włączyć slow motion?

Wywiad z Zofią
Karasiewicz



► Na czym według Ciebie polega podróżowanie w duchu ekologicznym?

Myślę, że muszę zacząć od tego, że nie czuję się w żaden sposób ekspertką w dziedzinie zrównoważonego czy zielonego podróżowania. Po prostu taka forma przemieszczania się jest gdzieś naturalnie we mnie zakorzeniona. Intuicyjne tak planuję i organizuję swoje wyprawy, że są to działania w zgodzie z przestrzenią, do której przybywam. Podróżowanie *green* podzieliłabym na trzy ważne aspekty. Pierwszy to środek transportu – czy będzie nim samochód, samolot czy może rower lub jakaś piesza wyprawa. Drugi dotyczy pakowania się – ile bagażu zabieramy, czy jest to pięć walizek, jeden plecak czy torba (nawet na podróż 10-dniową), czy są to kosmetyki w płynach, czy mydło lub szampon w kostce. Wreszcie trzecia rzecz, czyli jak wygląda cały proces naszej podróży – jaki kierunek wybierzemy, czy podróż będzie bliska czy daleka, jakie są nasze zwyczaje i nawyki oraz jak przebiega każdy dzień naszej podróży. Jeśli podróżujemy w duchu ekologicznym, to staramy się wspierać lokalnych przedsiębiorców – kupujemy w małych sklepikach (nie sieciówkach), odwiedzamy second handy czy wypijamy lemoniadę gdzieś w knajpcie przy szlaku. Wszystko, co jest skierowane w stronę lokalności, według mnie jest *green*.

► Czy taka forma podróżowania jest dla każdego?

Chyba największym wyzwaniem jest znalezienie balansu między własnym komfortem a tym, jak bardzo chcemy być *green*. Nie należy wpadać w taką pułapkę, że priorytetem naszej podróży jest bycie jak najbardziej eko. Chodzi o to, by być przede wszystkim w zgodzie z sobą,

bo kiedy rzucamy sobie zbyt wymagające wyzwania, możemy przestać odczuwać przyjemność z wycieczki. Myślę, że najlepszy balans jest wtedy, kiedy nasze „zielone działania”, odruch sięgania po bardziej zrównoważone rzeczy – nie jest wymuszony. Dlatego, jeżeli ktoś lubi latać samolotem na drugi koniec świata i tam spędzać urlop, to tygodniowe podróżowanie autostopem może być dla takiej osoby ciężkie i zwyczajnie męczące.

► Jak wyglądało Twoje zgłębianie *slow tourismu*?

Myślę, że duży wpływ miało to, że moim codziennym środkiem transportu jest rower. Było tak od zawsze, dalej tak jest i czuję, że zawsze będzie. Poruszam się nim cały czas po Krakowie, wybieram go podczas wakacji, także gdy chcę pojechać gdzieś dalej, np. poza Polskę. To spokojne przemieszczanie się, więc można o wiele więcej wychwycić, co czyni podróż uważną. Przejeżdżając przez las, jesteśmy w stanie zauważyć ptaki, jeżyny, jagody, zatrzymać się i skosztować darów lasu. Przejeżdżając przez małą miejscowość, możemy porozmawiać z drugim człowiekiem, zachwycić się jakimś zabytkiem, usiąść i poobserwować miasteczko, gdzie sklepy się zamykają o godz. 15. *Slow tourism* to odejście od pędu dnia codziennego, który przecież dotyczy wszystkich, nawet jeśli tego nie chcemy. To *slow* daje wrażenie bycia tu i teraz. Oddala poczucie gonitwy z punktu A do punktu B.

► Pamiętasz swoją pierwszą wyprawę?

Była bardzo spontaniczna. Zaplanowana może kilka dni przed. Pojechaliśmy w duecie, ja i moja mama szlakiem rowerowym Odra–Nysa. Najpierw pociągami z Krakowa



do Wrocławia, a później Kolejami Śląskimi do Żar. Następnie rowerami balansowałyśmy po granicy polsko-niemieckiej. Jeśli chodzi o noclegowanie, spałyśmy głównie w kwaterach prywatnych, znalezionych na OLX. Pamiętam jedną z nich, był to dom, wewnątrz... było jakby zatrzymane w latach 90. – z paprotkami na meblościance pełnej książek. W większości były to noclegi bardzo klimatyczne i tanie. Pamiętam, że odwiedziłyśmy ciocię w Szczecinie – to było fajne, że miałyśmy okazję wpaść i porozmawiać. Jeden nocleg był u siostrzy i nie wspominam go

ile wsi, gmin, rzek i plaży przejechaliśmy, gdzie robiłyśmy zdjęcia i wysyłałyśmy pocztówki, jakie osady, jeziora, szlaki, uzdrowiska, zatoki i parki krajobrazowe minęłyśmy. Wspominam o tym, bo człowiek nie zdaje sobie sprawy, ile ciekawych rzeczy mijają po drodze

► Dlaczego ten sposób podróżowania nie jest jeszcze powszechny?

Mam wrażenie, że tylko wtajemniczeni wiedzą np. o grupach na Facebooku, takich jak „host a sister”, gdzie kobiety



Fot.: Zofia Karnasiewicz

najlepiej. Zauważyłam wtedy, że ludzie, którzy oferują noclegi, nie lubią przyjmować gości tylko na jedną noc. Jest to w pewnym sensie zrozumiałe, trzeba wszystko wyprać i posprzątać – czasem ledwie po paru godzinach użytkowania. Dopiero niedawno nauczyłam się pisać do ludzi oferujących nocleg, że mam swój śpiwór. Dzięki temu cena jest również niższa.

► Jak wyglądają kwestie żywienia podczas Twoich podróży?

Podczas gdy ja zwykle odpowiadam za przebieg trasy i wybór szlaków, za posiłki odpowiada moja mama. Zazwyczaj gotujemy – zakupy robimy gdzieś lokalnie u rolnika. Podstawowymi elementami naszej diety jest na pewno: lemoniada – izotonik własnej roboty, sok z cytryny, woda, cukier trzcinowy i sól himalajska. Mimo że proporcje układamy na oko, to świetnie się to sprawdza w trasie. Jako przekąski niezawodne są batony – pełnowartościowe z nasionami chia, orzechami.

► Wiem, że przebyłaś pięć długodystansowych podróży. Które szczególnie Ci zapadły w pamięć?

Myślę, że wyprawa z 2019 roku. Pojechaliśmy wtedy szlakiem *green way* Kraków – Morawy – Wiedeń. Ten szlak zakładał posadzenie wzdłuż niego drzew, tak by jechać w otoczeniu zieleni. Szczególnie wspominam także zeszłoroczną wyprawę nadmorskim szlakiem R10 – pociągami z Krakowa do Świnoujścia, ze Świnoujścia do Gdańska na rowerach i z Gdańska pociągami do Krakowa. Oprócz dziennika podróży w postaci zeszytu, gdzie wklejamy z mamą zdjęcia, bilety czy paragony z trasy, stworzyłam także statystyki końcowe. Opisałam każdy dzień – przez

mogą prosić kobiety z całego świata o nocleg. Dlatego uważam, że powinna być większa edukacja o tym, jak podróżować. Chciałabym, żeby ludzie to rozumieli i nauczyli się, bo obecnie większość wie jedynie, jak zabukować nocleg. Taka edukacja nie polegałaby na szukaniu, gdzie są np. najlepsze plaże, tylko opierałaby się na logistyce podróży – jak gdzieś pojechać, jak wrócić, w jaki sposób się przemieszczać po danym terytorium. Od tego bym przede wszystkim zaczęła, by to zakorzeniać.

► Dlaczego podróżować w duchu słów?

To wszystko, co nas spotyka podczas wyprawy, to jest największa wartość, a odbieramy ją sobie, jeśli pokonujemy trasę w sposób, który nie otwiera nas na interakcję z innymi – te relacje powstają wtedy, gdy mamy kontakt z naturą i lokalną społecznością. Do tego trzeba czasu, energii i uważności, ale jeżeli ktoś chce coś przeżyć, to zdecydowanie rytm słów to umożliwia. Jest to nie do zastąpienia.

Rozmawiała Matylda Marcych

Zofia Karnasiewicz – fotografka mobilna z Nowej Huty aktywnie działająca na Instagramie. Liderka sekcji foto&film w Stowarzyszeniu Mosaic, które zrzesza młode artystki i artystów sztuk wizualnych m.in. z Krakowa i Łodzi. Pasjonatka turystyki rowerowej od 2017 r.



Ojców

– tak wiele
tak niedaleko



Fot. Alicja Bażan

Ojcowski Park Narodowy jest najmniejszym parkiem narodowym w Polsce. Położony kilkanaście kilometrów od Krakowa jest idealnym miejscem do spędzenia w nim dnia wolnego od pracy czy nauki.

Na terenie Ojcowskiego Parku Narodowego znaleziono liczne ślady bytowania ludzi z czasów prehistorycznych. Było to dla nich idealne miejsce, ponieważ mogli w nim znaleźć materiały potrzebne do wykonywania narzędzi, a także schronienie w ojcowskich jaskiniach. W Jaskini Ciemnej znajdują się dowody na obecność w niej ludzi 120–115 tysięcy lat przed naszą erą. Na obszarze współczesnego OPN żyły liczne zwierzęta będące dla ówczesnego człowieka pożywieniem: niedźwiedzie, tury, renifery i mamuty. Ponadto archeolodzy odnaleźli wiele narzędzi, ozdób i naczyń pochodzących z młodszej epoki kamienia, a także epoki brązu i żelaza.

Tajemnice jaskiń

Najbardziej rozpoznawalnymi obiektami OPN są: Jaskinia Ciemna i Jaskinia Łokietka – dostępne do zwiedzania dla turystów. Z Jaskinią Łokietka związana jest pewna legenda dotycząca polskiego króla. Według niej miał on schronić się tam na kilka tygodni po tym, jak uciekł z Krakowa przed wojskami czeskiego króla Wacława II. Legenda głosi, że życie uratował mu pająk, który swoją siecią oplótł

wejście do groty i zmylił tym pościg. Na pamiątkę tego zdarzenia brama wejściowa do jaskini została wykonana na kształt pajęczej sieci. Grota podzielona jest na wiele sal, z których największa jest Sala Rycerska. Poruszanie się po jaskini ułatwiają odwiedzającym drewniane schody i oświetlenie elektryczne. W 1927 roku Jaskinia Łokietka została uznana za zabytek. Rocznie zwiedza ją ponad 90 tysięcy osób. Jaskinia Ciemna jest największą komorą na terenie Wyżyny Krakowsko-Częstochowskiej. W jej środkowej części znajdują się liczne stalagmity, czyli dużych rozmiarów nacieki jaskiniowe. Wewnątrz można spotkać wiele bezkręgowców, pajęczaków i pajaków, stanowiących symbole Parku Ojcowskiego. Na terenie całego obiektu mieści się ponad pięćset różnych grot i jaskiń, które jednak w większości nie są dostępne dla turystów do swobodnego zwiedzania.

Miejsce pełne zabytków

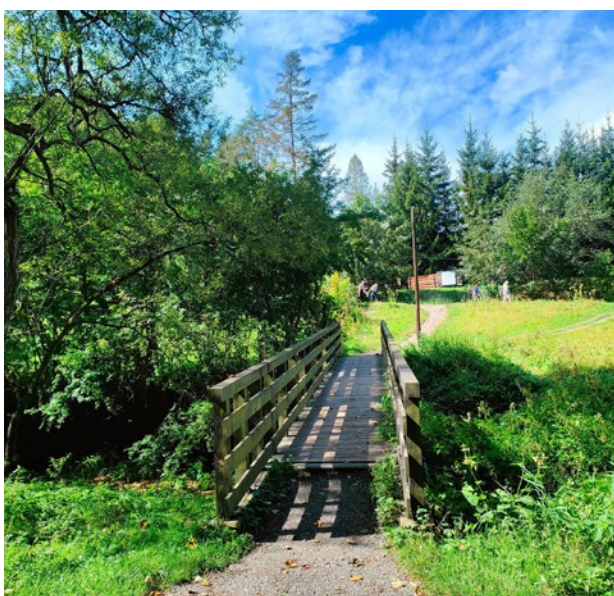
Na terenie Ojcowskiego Parku Narodowego znajdują się liczne zabytkowe obiekty. Należą do nich między innymi ruiny średniowiecznego Zamku w Ojcowie,



Fot.: Alicja Bazan



Fot.: Alicja Bazan



Fot.: Alicja Bazan

Wśród stu dwudziestu gatunków ptaków są m.in. bocian czarny, sowa uszata, dzięcioł zielony, puszczyk. Niektóre ptaki, takie jak jasiołki i kwiczoły, przylatują, aby przetrwać zimę. Z płazów możemy spotkać w Ojcowie na przykład ropuchę szarą, traszkę zwyczajną i żabę trawną, a z gadów: jaszczurkę zwinkę, zaskrońca zwyczajnego, żmiję zygzakowatą. W wodach Sąsówki i Prądnika żyją pstrągi – potokowy i tęczowy. Wśród miejscowej flory znajdziemy mnogość gatunków roślin, grzybów, mchów i porostów. Przedstawicielami roślin chronionych na tym terenie są chociażby róża alpejska, rokitnik zwyczajny, brzoza ojcowska, skrzyp olbrzymi. Drzewami licznie porastającymi w OPN są grab i jodła.

Alicja Bazan

wybudowanego na polecenie Kazimierza Wielkiego w XIV wieku. W zachwyt wprawia również porenasansowy Zamek Pieskowa Skała. W Ojcowie znajdziemy także obiekty kultu religijnego: Kościół Najświętszej Maryi Panny i Groty Modlitewne w Grodzisku, Pustelnię bł. Salomei czy drewnianą Kaplicę „Na Wodzie” pod wezwaniem św. Józefa Rzemieślnika, wzniesioną w 1901 roku. Park bogaty jest w liczne skały – wśród nich są: Skały Kawalerskie, Brama Krakowska, Rękawica czy niezwykle charakterystyczna i rozpoznawalna Maczuga Herkulesa.

Bogactwo natury

Niestety działalność człowieka w ciągu lat poprzedzających założenie na tym terenie Parku Narodowego spowodowała znaczne zubożenie różnorodności natury. Wciąż jednak ojcowska przyroda zachwyca swoim bogactwem. W OPN i jego otulinach znajduje się, według przypuszczeń, około jedenastu tysięcy gatunków różnych zwierząt. Póki co sklasyfikowano sześć tysięcy, jednak przyrodnicy stale odkrywają kolejne. Do żyjących tu ssaków należą m.in. sarna, bóbr europejski, borsuk, lis rudy oraz zając szarak.



Fot.: Alicja Bazan



Kraków dla serca i żołądka



Źródło: facebook.com / MassolitBakeryCafe

Oprócz Wawelu czy Sukiennic – pokarmu dla duszy każdego turysty – Kraków może się poszczycić bogatą ofertą dla... turysty kulinarnego. W Mieście Królów znajdziesz prawie każdą kuchnię świata i wiele więcej.

Mało kto, przyjeżdżając do innego kraju, przechodzi obojętnie obok oferty kulinarnej zwiedzanego państwa. Istnieje nawet sposób podróżowania zwany turystyką kulinarną. Zwolennicy tego trendu – nazywani „foodies” – podróżują głównie dla doznań kulinarnych i wiedzy gastronomicznej.

To wcale nie tak...

Mogłoby się wydawać, że turystyka kulinarna opiera się jedynie na konsumowaniu. Temu założeniu jako pierwsza sprzeciwiła się Lucy Long w 1998 roku. Amerykanka stwierdziła, że jest to przede wszystkim zamierzone uczestnictwo turysty w tradycjach związanych z jedzeniem i jego przygotowywaniem. Oprócz samego pałaszowania, turysta skupia się także na poznawaniu kultury i historii danego miejsca. Taka forma turystyki posiada także zasady, które muszą być spełnione. Podstawową regułą jest wysoka jakość potraw i odpowiednie otoczenie przy spożywaniu posiłków.

Z kolei turystę kulinarnego z założenia ma cechować otwartość na świat i odwaga, aby pogawędzić o jedzeniu ze spotkanym na drodze miejscowym przechodniem. Turysta gastronomiczny jest więc jednocześnie socjologiem, antropologiem i krytykiem kulinarnym. Sam Kraków

można nazwać wielkim kotłem kulinarnym, który ma nam do zaoferowania prawie wszystkie smaki świata. Można tu skosztować potraw wywodzących się z kuchni tradycyjnych aż po azjatyckie, czy wyróżniające się w sposób inny niż geograficzny.

Łap bajgla!

Historia „Mossolitu” zaczęła się od założenia księgarnio-kawiarni. Dopiero później właściciel wpadł na pomysł otwarcia kolejnego lokalu – tym razem kawiarni połączonej z piekarnią znanej nam pod nazwą „Massolit Bakery & Cafe”. W swoich wypiekach nawiązują do tradycji żydowskich i amerykańskich. Piekarnio-kawiarnia ma w swojej ofercie bajgle własnoręcznego wypieku. Wśród innych dostępnych tu żydowskich przysmaków są również: knysze (pyszne bułeczki wypełnione obficie różnymi dodatkami), rugelachy (tradycyjne ciasteczka żydowskie) czy hamantasze – tak zwane „uszy Humana”. Historia tych ostatnich wydaje się szczególnie ciekawa. Hamantasze to również ciasteczka, w środku których znajdował się mak, ze względu na co nazywane były również „makowymi kieszeniami”. Za to kształt ciasteczek miał nawiązywać to trójkątnego kapelusza Hamana – ministra przebywającego na dworze króla Perskiego.



Zródło: facebook.com / NiasolitBakeryCafe

Fantastyki nigdy za mało

Podobno to, co dobre, nigdy się nie kończy... Ta teoria na pewno sprawdziła się w przypadku sagi „Harry Potter”, w oparciu o którą wciąż powstają nowe produkcje. W Krakowie na ul. Grodzkiej znajduje się kawiarnia „Dziórawy Kocioł” – wystrojem i menu nawiązująca do uniwersum Harry’ego.



Zródło: facebook.com / dziorawykocioł

Kawiarnia
„Dziórawy
Kocioł”

Ach ten obwarzanek...

Nie sposób zapomnieć o krakowskim specjale i związanym z nim Żywym Muzeum Obwarzanka, znajdującym się na Nowym Kleparzu. Zadaniem muzeum jest kultywowanie tradycji i przypominanie o historii wypieku obwarzanka. Jednak inspiracją do jego powstania było... Żywe Muzeum Piernika w Toruniu. Przekształcenie idei w czyn wymagało czasu, dlatego muzeum zostało otwarte dopiero w 2017 roku. Jak można się domyślić, miejsce poświęcone tradycyjnym dla naszego miasta obwarzankom ma przyciągać turystów, którzy przyjeżdżają spróbować krakowskich specjałów.

Żywe Muzeum
Obwarzanka



Zródło: facebook.com / muzeumobwarzanka

Lokal znajduje się w „podziemiach”, co potwierdza brak zasięgu. Aby dostać się do ciemnego wnętrza, należy zejść po krętych schodkach, czemu towarzyszy wrażenie zanurzania się w nieznanych czeluściach. Gdy już zajmie się stolik, można zauważyć wywieszone na ścianach portrety różnych bohaterów książki. Samo menu jest niezwykle pomysłowe – są w nim magiczne eliksiry szczęścia i miłości podawane z suchym lodem, który później unosi się nad kieliszkiem jak mgła. Można tu także wypić słynne „kremowe piwo”, które o dziwo wcale piwem nie jest, a jedynie mlecznym korzennym napojem, przypominającym smaki dzieciństwa. Z pewnością taki lokal przyciąga mnóstwo turystów – z Polski i z zagranicy.



Zródło: facebook.com / dziorawykocioł

I się wyjaśniło...

Widzimy więc, że turystyka kulinarna to o wiele więcej niż tylko jedzenie. Każde danie kryje za sobą swoją własną historię, która często pozostaje dla nas nieodkryta. Dlatego może warto zostać turystą kulinarnym w swoim mieście? Nie tylko spróbować smaków z całego świata, ale również poznać historię, która wiąże się z nimi i ich obecnością w Krakowie.

Jagoda Burekowska

Sztuka podróży po światowych problemach

Uczniowie i uczennice krakowskich szkół średnich wzięli udział w wystawie „Problemy Świata Współczesnego”. Jej wernisaż odbył się 14.06.2022 roku w Staromiejskim Centrum Kultury Młodzieży.



Fot.: Anna Pawłowicz

W obecnych czasach, pełnych niepokoju i trudności, niezwykle ważne jest rozwijanie kreatywności i sztuki. Do takiego wniosku doszli uczniowie VII Liceum Ogólnokształcącego im. Zofii Nałkowskiej, którzy zainicjowali przedstawienie prac krakowskiej młodzieży na ogólnodostępnej wystawie. Działając pod okiem ówczesnej opiekun samorządu – Pani Magdaleny Bator, w projekt włączono także: I LO im. Bartłomieja Nowodworskiego, II LO im. Jana Sobieskiego, V LO im. Augusta Witkowskiego, VI LO im. Adama Mickiewicza, VII PLO im. Mikołaja Reja, VIII LO im. Stanisława Wyspiańskiego, a także uczennicę z XVII LO im. Młodej Polski. Forma pracy plastycznej była dowolna – uczniowie zaprezentowali nie tylko dzieła malarskie czy serie fotografii, ale też np. naszyjnik wraz z jego interpretacją.

Sam pomysł stworzenia dla krakowskiej młodzieży przestrzeni do pokazania swoich artystycznych talentów powstał już jesienią ubiegłego roku – podczas kampanii wyborczych w VII LO. Wielogodzinne spotkania zaowocowały ogłoszeniem projektu i rozpoczęciem zbierania prac w każdej z włączonych szkół.

Przygotowując akcję, organizatorzy długo zastanawiali się nad tematyką wystawy. W obliczu wojny w Ukrainie szkolni samorządowcy postanowili zwrócić uwagę na współczesne problemy, z którymi boryka się cały świat – a w szczególności ludzie młodzi. Prace podejmowały więc wiele trudnych zagadnień, takich jak samotność i używki, cierpienie zwierząt, bezdomność czy przytłoczenie ogromem informacji płynących z mediów.



Inauguracja wystawy zgromadziła liczną publiczność. Wśród gości pojawili się przedstawiciele zaangażowanych szkół, Starego Centrum Kultury Młodzieży, a także dzielnicy V Krowodrza. Wydarzenie prowadzili uczniowie VII LO – Wiktoria Karcz oraz Adam Nieuważny.

O tym, czym jest sztuka i dlaczego nigdy nie zawiedzie ona młodego człowieka, opowiedział Tomasz Smuga – architekt i współzałożyciel szkoły rysunku i malarstwa. Zwiedzaniu wystawy towarzyszył słodki poczęstunek oraz muzyka wykonywana na żywo przez uczniów „Szóstki” oraz „Siódemki”.

Czas spędzony na wernisażu pomógł w integracji społeczności krakowskich szkół oraz był okazją do podziwiania prac, które – zwłaszcza ze względu na swoją różnorodność – aż prosiły się, by dokładnie im się przyjrzeć.

Wiktoria Karcz

PISANIE to Twoja pasja?

**DOŁĄCZ
DO NASZEGO
ZESPOŁU
REDAKCYJNEGO!**

**NAPISZ
DO NAS
I DOWIEDZ SIĘ
WIĘCEJ:**



facebook.com/MlodyKrakowCzytajze



[@mlody_krakow_czytajze](https://www.instagram.com/mlody_krakow_czytajze)



redakcja@demokracjawpraktyce.pl